

Piotr Tederko



Włóczęga
w pięciu smakach

BAZARY I ODLUDZIA

© Copyright by Piotr Tederko

Projekt okładki: Piotr Tederko

Zdjęcie na okładce: Marian Rusek

Ilustracje: Marian Rusek, Paweł Górski, Dominika Borkowska oraz Piotr Tederko

Konsultacje lingwistyczne: Dominika Borkowska

ISBN 978-83-272-3778-1

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Rozpowszechnianie i kopiowanie całości lub części publikacji zabronione bez pisemnej zgody autora.

Piotr Tederko

**WŁÓCZĘGA
W PIĘCIU SMAKACH**

Bazary i odludzia

Xinjiang

Xinjiang, Shinjang, Sinciang, Sinkjang, 新疆, ئۇيغۇر ئاپتونوم رايونى, Chiński Turkiestan, Ujgurstan, Autonomiczny Okręg Ujgurski. Marka piwa. Najrozleglejsza prowincja Chin. Zajmuje 1,6 miliona kilometrów kwadratowych, czyli jest sześciokrotnie większy od Polski. Obecna nazwa w chińskim tłumaczeniu brzmi Nowa Granica. Egzotyczny i niełatwy obszar na rozdrożu właściwych Chin, Mongolii, Kazachstanu, Kirgizji, Pakistanu, Indii i Tybetu. Na obrzeżach dzikie góry: Tien-Szan, Kun-Lun, Pamir, w środku: rozgałęziający się Jedwabny Szlak, jadeity z Kotliny Tarymskiej, geograficzny środek Azji. Taklamakan – pustynia o sławie jednego z najbardziej niegościnnych obszarów na Ziemi – przechowuje duchy zaginionych karawan i zasypane antyczne miasta. Na północnych obrzeżach pustyni, u stóp Tien-Szanu w tektonicznej studni Kotlina Turfańska sięga 154 metrów poniżej poziomu morza. Jest to jedno z najgorętszych, i najsuchszych miejsc na świecie. W sercu tej pustki i na dnie depresji leży oaza wokół Jeziora Księżycowego (Aydingkol). Natrafisz tam na bajeczne ogrody, fenomenalne uprawy i najśłodsze w całej Azji owoce. Napijesz się słynnych turfańskich win.

Cesarstwo Chińskie wykazywało zainteresowanie Xinjiangiem już od dwóch tysięcy lat. Obszar przez setki lat przechodził z rąk do rąk. Znajdował się pod panowaniem Chińczyków, Persów, Mongołów, Turków, Ojratów, Rosjan. Jedwabny Szlak – jedno z bogactw regionu – przyczynił się do rozwoju miast, z których część pochłonęła pustynia, inne są wciąż dumne z historii liczącej nieraz tysiące lat. Bogata tradycja kultury to jednak nie tylko efekt tysiąca lat wpływów cywilizacji Islamu i obecności na tych ziemiach wyznawców Proroka, ale i daleko starsze wpływy buddyzmu, a nawet chrześcijańskich nestorian. W środku Azji unosi się delikatny zapaszek środkowej Europy. Ujgurowie uważają się za kuzynów Hungarów. Węgrzy są więc tutaj podejmowani ze szczególną atencją, a skoro Polak, Węgier – dwa bratanki, więc czemu z tego nie skorzystać?

Największą jednak atrakcją Xinjangu są ludzie. Rdzenni mieszkańcy to Ujgurowie – muzułmański naród pochodzenia tureckiego. Stanowią najliczniejszą grupę narodową w Xinjangu (45% spośród 22 milionów), jednak intensywny napływ Chińczyków narodowości Han może wkrótce znieść ich dominację. Smagli, o wyraźnie niechińskich rysach. Nieraz spotkasz wśród nich blondyna o niebieskich oczach. Odznaczają się gościnnością, znakomitą kuchnią (baranina, makarony, warzywa, owoce, placki pszenne), krewkim charakterem, muzycznym talentem oraz nieprzejednaną awersją do chińskiej administracji państwowej. Zakorzenionych tradycji rebelianckich nie jest w stanie zdusić policyjny system narzucony przez chińskie władze, więc co

chwila słyszymy o rozruchach w Urumqi lub Kashgarze.

Dominika – znawczyni i smakoszka Chin – nie miała istotnych kłopotów z przekonaniem nas do konieczności podjęcia trudu odwiedzenia Xinjiangu. Początkowo jednak wyrażała wątpliwości co do pomysłu wyprawy w tak szczególnym okresie jak Olimpiada w Pekinie w 2008 roku:

- Wszędzie pełno policji, problemy z transportem, wszystko trzy razy droższe niż zwykle...

Na co nam to?

Okazało się jednak, że stan wyjątkowy związany ze światową imprezą sportową może stworzyć zaskakujące okoliczności szczególnie istotne dla włóczęgów takich jak my. Olimpiada to przede wszystkim najazd zagranicznych gości, którym trzeba zapewnić bezpieczeństwo i zarazem nie budować wizerunku dyktatorskiej tyranii. Dla przyzwyczajonego do wszechwładzy chińskiego policjanta nastał trudny okres bycia przynajmniej zewnętrźnie życzliwym i tolerancyjnym. Można więc powiedzieć, że na czas balu demon przywdziewa uśmiechniętą maskę. Nawet w najbardziej zapadłej dziurze, gdzie przez myśl mu nie przejdzie mu wizyta zagranicznych gości.

Na podstawowy środek lokomocji wybraliśmy rowery, co pozwoliło dotrzeć w zakamarki, w które nie prowadzi żadna turystyczna trasa opisana w przewodniku, a większość z mieszkańców nie widziała białego przybysza jeszcze nigdy.

Za chwilę rozpoczniemy poznawanie magicznych Zachodnich (i nie tylko) Chin naszymi oczami. Czas więc na parę słów na temat osób pośredniczących w akcie poznania:

Dominika – wytrawna podróżniczka, świetna znawczyni kultury i języka Chin – w Xinjiangu nieraz daje się zaskoczyć.

Marian – fizyk teoretyk cierpiący na obsesję uściślenia świata według teorii mechaniki kwantowej. W tym szaleństwie miewa przebłyki i widzi sedno sprawy

Paweł – gawędziarz spod znaku grupy opowiadaczy zwanej Studnią O. niezrównany bajarz i bajerant. Urodą odpowiada przedstawicielom antycznego narodu Bai – niebieskookich, jasnowłosch mieszkańców Kotliny Tarymskiej, za północno-zachodnią granicą starożytnych Chin.

Piszący te słowa – spisujący szczegóły i ulotne wypowiedzi, uczestnik wielu fascynujących włóczęg

Mapka trasy:



1.

Moskiewskie lotnisko Szeremietiewo-2, mimo pierestrojki i wszelkiego dalszego zamętu, nie traci nic z imażu wyreżyserowanego przez twórców dojrzałego socrealizmu. Pierwsze, co rzuca się w oczy, to brak miejsc siedzących. Zatęchłe powietrze i zmęczony tłum przelewający się korytarzykiem uwikłanym wśród sklepów i straganów. Smród z toalet miesza się z odorem bijącym od kałuży wypływającej spod stoiska z napojami. Zdejmujemy buty przed kontrolą bagażową i atmosfera gęstnieje jeszcze bardziej. Burzowe chmury zwierają się nad moskiewskim niebem za brudną szybą i robi się nastrój jak w piosence Wysockiego „*Moskwa – Odessa*”. Na szczęście dziś Пекин открыт i usadowiwszy się w samolocie, możemy spokojnie trawić dziesięć tysięcy li dzielące nas od chińskiej stolicy.

Podróżujący na sąsiednich fotelach młodzi Amerykanie niecierpliwie dopominają się alkoholu, który w Aeroflocie doprawiony jest słonymi cenami. Tym przyjemniej zaskakuje nas smaczna i obfita kolacja z pieczoną rybą. Duchowej strawy dopełniają serwowane na plazmowych ekranach legendarne hollywoodzkie i mosfilmowe produkcje archiwalne, których niezawodność w sklepaniu powiek jest również legendarna.

2.

Czy można nazwać śniadaniem posiłek podany o 22.30 domowego czasu, a złożony z samotnej bułeczki z dżemem okraszonej gorzką kawą i krwistym niebem nad mongolskimi stepami?

W Pekinie jeszcze nie jesień, choć w kolorze nieba dominuje żółć pyłu znad Gobi. Daje się jednak wyczuć bliskość olimpiady.

– Państwo na igrzyska? Witamy sportowców! – wykrzykuje urzędnik obsługujący bramkę wyjściową, obmacując wzrokiem kształty rowerów okręconych taśmą streczową.

Ze względu na bliskość międzynarodowej pompy wydano okólnik zobowiązujący przedstawicieli mniejszości narodowych do opuszczenia stolicy na okres igrzysk – dowiaduje się Dominika w lotniskowym przedstawicielstwie kolei. Nic więc dziwnego, że bilety na nieliczne pociągi do Xinjiangu i Mongolii Wewnętrznej wyprzedano na kilka dni do przodu.

Automat do wymiany pieniędzy, poczęstowany solidną dawką dolarów, odzywa się narodowym hymnem. Wykrzykuje po chińsku:

- Naprzód, naprzód, NAPRZÓD!!! - po czym wypływa fury zmiętych chińskich banknotów. Podjąwszy błyskawiczną decyzję, inwestujemy lwią część (1600 juanów¹ od osoby) posiadanej gotówki w ostatnie miejsca na odlatujący za godzinę Boeing 777 linii East China do Urumqi. Z ledwością przepychamy rowery przez rentgenowską bramkę do bagażu nadwymiarowego, do której inni pasażerowie pchają wypchane sizalowe torby, drewniane skrzynie, a nawet oszalałego z przerażenia psa. Nie zdążywszy odetkać uszu po długim locie z Moskwy, znów wznosimy się w przestworza.

– Czy wiecie, że czyste niebo nad Chinami to prawdziwa rzadkość? – mówi Dominika, usiłując przebić wzrokiem otaczające nas brudnożółte chmury. – Nie jest to powodowane klimatem, jak oficjalnie podaje się w mediach, tylko dymami z tysięcy fabryk otwieranych tu każdego roku.

Po krótkiej drzemce czas na pierwszą przekąskę na chińskiej ziemi, a właściwie na chińskim niebie. W czasie serwowania posiłku milkną rozmowy, a samolot wypełnia się przypominającym szmer leśnego strumienia chóralnym mlaskiem setek ust. Ryż z mięsem marynowanym z fasolą i marchewką, z wyczuwalnym posmakiem glutaminianu pomaga trawić egzotyczne mordobicie emitowane bite dwie godziny z samolotowych ekranów.

Mija film, dwie drzemki i 1510 mil. Podchodzimy do lądowania. Pasażerowie nawykli do nieziemskich upałów drżą na wiadomość, że w stolicy Xinjiangu jest tylko 21°C. Urumqi rozciąga się na zalanej deszczem pustyni i migocze setkami kałuż szybko parującymi w południowym skwarze.

Rowery odczuły trudy transportu. Marian ma złamany bagażnik, zaś Paweł uszkodzony pancerz linki hamulca. Nasze pierwsze kroki kierujemy więc do zakładu mechanicznego.

1

Kurs juana w trakcie naszej wyprawy wynosił około 30 groszy

– Jesteście Francuzami? – szefowa przyzwicie wyglądającego podmiejskiego sklepu rowerowego podejmuje nas arbuzami.

Mieszkańcy przeżywają niedawny przejazd grupy kilkuset kolarzy zmierzających z Paryża do Pekinu przez Urumqi i przez skrzyżowanie, przy którym właśnie stoimy.

Urumqi jest miastem najdalej na Ziemi oddalonym od morza. Składa się z szerokich ulic, blokowisk rozrzuconych beładnie w stepie. Rdzenni mieszkańcy to Ujgurowie, Kazachowie i Mongołowie. Najwięcej jest jednak napływowych Chińczyków, którzy, jak wszędzie, uważają się za rasę wyższą.

Pokonanie 35 kilometrów dzielących dworzec lotniczy od autobusowego zabiera nam 8 godzin przedzierania się przez zagmatwane centrum, zakorkowane autostrady i apokaliptyczne blokowiska. Szczególnie skutecznie opóźniają nas zawiesziste zapachy dobiegające z knajpy otoczonej stołami bilardowymi pod dziurawym brezentem. Za 49 juanów dostajemy miskę wybornej jagnięciny z ostrymi paprykami, sałatkę z wąskich liści o niezidentyfikowanej nazwie, znakomity ogórek z czosnkiem, półmisek pieczonej ryby w ostrym sosie i czajnik lurowatej herbaty. Jedzenia starcza dla czworga i jeszcze zostaje. Poposiłkowa ociążałość daje się we znaki. Tymczasem w centrum miasta trzeba zdwoić uwagę. Jesteśmy zmuszeni do przemieszczania się autostradą. Poruszanie się po chińskich drogach potrafi postawić włos na głowie nawet najbardziej opanowanym kierowcom. Dla Chińczyka za kółkiem dać się wyprzedzić to poważny afront. Jazda autostradą to wieczne wyścigi i nieustanne zajeżdżanie sobie drogi.

Dworzec autobusowy znajduje się na południowych krańcach miasta, wśród starej zabudowy i straganów spiętrzonych stosami melonów i arbuzów. Biały budynek dworca ozdobiony wieżyczkami bierzemy za meczet. Autobus do Hotanu odchodzi o 20.00 czasu ogólnochińskiego, co sprawia, że na formalności związane z biletami² pozostaje nam pół godziny. Mimo to zdążamy się jeszcze zaopatrzyć w wodę i owoce (przed nami 22-godzinna podróż przez pustynię Taklamakan), spokojnie złożyć rowery i przepuścić je przez aparat rentgenowski obecny tu niemal w każdym publicznym przybytku.

Chińskie autobusy dalekobieżne zamiast foteli mają rzędy piętrowych prycz i podłogę wyłożoną dywanem.

– W środkowych Chinach podróże takimi autobusami są okropne – mówi Dominika, moszcząc się pod wzorzystym kocykiem. – Powietrze stoi, a Chińczycy palą i wymiotują. Najgorsze jest jednak, jak ściągną buty. Tutaj używa się takich tanich plastikowych skarpetek, a zwyczaj mycia nie dotyczy części ciała poniżej pasa.

Jednak tym razem mamy szczęście. Większość pasażerów to Ujgurowie. Schludni mężczyźni o kaukaskich lub tureckich rysach przyobleczeni w białe koszule i islamskie czapeczki porozumiewają się gardłowo-syczącą mową. Obwieszone złotem kobiety zazwyczaj milczą. Nikt nie pali w czasie jazdy. Warkot motoru częściej niż rozmowy przerywają telefony komórkowe emitujące nostalgiczne orientalne melodie. Paweł rozłamuje aromatyczny placek nan i częstuje śliwkami. Zapada czerwony zmierzch nad

Prawdziwy Chińczyk nie dość, że nie daje się wyprzedzić, to jeszcze nie stoi w kolejkach, co jest szczególnie wyraźne w takich miejscach jak dworce. Przy okienku przepycha się wrzeszczący tłum pasażerów, wyciągając ręce z banknotami w kierunku kasjerki. Każdy wykrzykuje nazwę miejscowości, do której chce jechać. Przy chronicznym braku biletów możesz zapomnieć o dalszej podróży, jeśli nie ma z tobą Dominiki, która prócz świetnej znajomości chińskiego dysponuje nie lada tupetem

żwirowymi przedpolami pustyni i dalekimi łańcuchami Tien-Szanu. Przed nami i za nami opustoszała wstążka drogi.